ŻYCIE

ROCZNIK II. ZESZYT I.
DNIA 1. STYCZNIA 1911 R.

Wydawcy:
Dr. Aleksander LISIEWICZ. Hipolit ŚLIWIŃSKI.
Redaktor naczelny: GUSTAW DANIŁOWSKI.
Redaktor odpowiedz.: Dr. MARYAN KUKIEL.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA WE LWOWIE,
:: ULICA DWERNICKIEGO L. 11 A. ::

NUMER ZŁOŻONY I ODBITY W „DRUKARNI POLSKIEJ“ („KURJERA LWOWSKIEGO“) LWÓW, CHORĄŻCZYZNA 31. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. „TĘCZA“. :: WE LWOWIE I WIERZBICKIEGO W WARSZAWIE. ::





ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI

DR. MARYAN KUKIEL.

NA POWITANIE ROKU.

O jedną kreskę przesunęła się wielka wskazówka dziejowego zegaru. Rok przeminął. Myśl zwraca się ku tej najbliższej przeszłości, usiłując w niej się doszukać wróżb na przyszłość najbliższą. Więc podejmuje „Życie“ na nowo wątek rozważań, wszczętych wraz z przełamanym opłatkiem, w wigilię Godów.

Bo też był rok miniony bogaty w zdarzenia doniosłe, w objawy wróżebne, w przemiany następstwami brzemienne na przyszłość. Lata głuszy i zastoju minęły bezpowrotnie, odkąd podzwonne im sprawiły armaty japońskie nad Jalu. Przełamany został pokój zbrojny, trzymający w zawieszeniu zmagania się państw i narodów między sobą, a zarazem zmagania się sił społecznych na wewnątrz państw i narodów. Wartkim potokiem popłynęło zatamowane życie. Społeczeństwa, wychowane w czasach niehistorycznych, w szarzyźnie wegetacyi niewolniczej lub konstytucyjnego kramarstwa, znające historyę z tanich wulgaryzacyi, nastrojonych na tam-tam tandetnego patryotyzmu, naraz powołane zostały do stwarzania historyi i postawione pośród spraw wielkich, do których potrzeba mocnej ręki i myśli nieustraszonej. Od roku 1904 począwszy, każdy rok dalszy nie pokój ale walkę przekazywał następnemu w dziedzictwie. „Pokój ludziom dobrej woli“ — powtarzały usta milionów tradycyjną formułkę. „Walka ludziom, których zła wola pęta ludy i narody!“ — dopowiadała logika rzeczy.

Tak i po roku 1910-tym w spuściźnie pozostała walka. Zastał on południe Europy w stanie rewolucyjnym. W Turcyi nowy rząd młodoturecki w ciężkich zapasach z reakcyą, której głowa, wciąż ścinana niemiłosiernie, wciąż odrasta; w cięższych jeszcze ze stugłową hydrą rokoszu podbitych narodów i plemion, jeszcze nie zamalgamowanych w naród; w zapasach najcięższych wreszcie ze zgnilizną, wszczepioną narodowi przez *ancien régime* Abdula Hamida. Znane są historykom

sympatye, jakie żywił ongi do królobójców francuskich szlachetny i mądry sułtan Selim III, ów młodoturek XVIII w., samotny pośród swego dworu, swych effendich, ulemów i paszów. Dwie rzeczy widział on w Wielkiej Rewolucyi Francuzów: ścinane głowy i armie zwycięskie. Jedno i drugie wydawało mu się czemś pożądanem dla państwa Otomanów. Gdy po latach stu kilkunastu wystrzeliła rewolucya wojskowa na Bałkanach, postawiła nasampierw na porządku dziennym zwycięstwo, po zwycięstwie zaś nad rokoszem stambulskim dodała punkt drugi — terror rewolucyjny. Wodzowie Młodej Turcyi, to niedawni paryscy studenci, uczniowie Sorela i Aularda, którzy na bruku wulkanicznego miasta, republikańskiej Mekki, przez długie lata przeżywali myślą dzieje przyszłej rewolucyi otomańskiej. Wchłonęli w siebie niejedno z Dantona, z Carnota — może i z nantejskiego Carriera. W Albanii nie dojrzeli nic, prócz Wandei i zdławili ją w sposób okrutny, nie ustępujący w niczem najadom republikańskim. Grunt rozpalony parzy im stopy i grozi usunięciem się z pod ich nóg. Upokorzenie aneksyjne, upokorzenie kreteńskie, upokorzenie perskie osłabiają urok ich w oczach narodu, spragnionego chwały. Wojna stać się może wcześniej, czy później, jedynem dla nich wyjściem z tragicznego położenia. Może stać się czemś więcej, niż koniecznością polityczną. Zlatujące się sępy ostrzą dzióby nad młodą Turcyą.

We Włoszech wznowione tradycye Cavoura; król bratający się ze skrajną lewicą republikańską; front bojowy zwrócony w stronę agresywnego, zapamiętałego w nieomylności swej Watykanu. Z łona rządu wychodzący projekt szerokiej reformy wyborczej; przeciw anarchizmowi i antypatryotyzmowi jako oręż użyte uobywatelenie mas. W armii pobrzękiwanie orężem, zapalczywe mowy epigonów Garibaldiego, związki tajne z austryacko-włoską *irredentą*. I tutaj zmartwychwstaje przeszłość. Zdrój krwi gorącej, bijący z głębi dziejowej, ożywia teraźniejszość narodu.

W Hiszpanii jest rok miniony rokiem żniwa z krwawej siejby zeszłorocznej. Tryumfuje niepodległa myśl polityczna nad dyktaturą klerykalną i kuratelą papieską. Canalejas, godny dziedzic tradycyi Arandów i Campomanesów, wypowiada wojnę nieuprawnionym kongregacyom, stacza zwycięski pojedynek z kardynałem Merry del Val. Bez krwi przelewu, silną ręką liberalnego rządu pomszczony zgon męczeński Franciszka Ferrera. Klerykalizm hiszpański, wciąż jeszcze potężny, zgoła niezwalczony, postradał jednak urok niezwyciężoności. Rząd dusz wymyka się w Hiszpanii z ręki mniszej.

W Portugalii szybka, jak grom rewolucya zwycięska. Grzmotem dział, trzaskiem karabinów maszynowych notyfikowana Europie nowa republika. Jak za czasów Pombala wędrują z kraju czarną procesyą dzieci Loyoli. Opiekuńcza Anglia ochrania życie króla-kuzynka, lecz popiera republikę. Potrzebna jej tam na półwyspie iberyjskim mocna warta, z rządem nieskorumpowanym, z bitną flotą i armią, więc gdy król wypędzony — *vive la république!*

Bo zmieniły się czasy. Nie będą kongresy opawskie, lublańskie ni werońskie radzić o „przywróceniu porządku" za Bałkanem i Pirenejami. Jeden tylko romantyk monarchizmu i niefortunny legitymista, wnuk wielkiego uzurpatora, Wilhelm II, skłonny jest do rozmówek czułych w tym przedmiocie z nadnewskiem narzędziem „bożej łaski". Własna jego dyplomacya inną pójdzie drogą. Jedna bowiem sprężyna wprawia dziś w ruch wszystkie gabinety europejskie: interes mocarstwowy, utożsamiający się coraz bardziej z interesem wielkiego kapitału — kapitału lichwiarskiego w krajach zacofanych społecznie, przemysłowego w najwyżej rozwiniętych społeczeństwach. Wszystko inne sprawić może wahania, linię prostą wyłamać może w zygzaki — ani jednak zachcianki dynastyczne, ani racye ideowej natury polityki wielkich mocarstw nie wykoleją. Z brodzącą we krwi Rosyą nadal bratać się będzie czerwona republika francuska i radykalna Anglia; rewolucyjnej Turcyi nadal podawać będą ręce Niemcy pod samowładnym rządem Wilhelma, Austro-Węgry ze swoim starym habsbursko-lotaryńskim domem monarszym. Jak w dobie Wielkiej Rewolucyi jest dzisiaj Europa monarchiczna podzielona, nurtowana przez rywalizacye i sprzeczne dążenia; nic prócz chwilowej rządzy zaboru, nie mogłoby spoić nowej koalicyi kontrrewolucyjnej. Gdy zaś żądzę tę sama rywalizacya trzyma na uwięzi, spokojnie dokonywać się mogą na południu i zachodzie Europy wielkie przeobrażenia społeczne.

Nie było ich we Francyi. Nowe ataki rewolucyjnego syndykalizmu, popierane raczej, niż prowadzone przez „socyalistów zjednoczonych" w parlamencie, rozbiły się o przemoc rządu. Arystydes Briand wyszedł z tych zapasów obronną ręką. Wyrósł przez tchórzostwo swych zwolenników do kolosalnych proporcyi dyktatora. Na mniejszą skalę i bez krwawych kąpieli zagrał rolę Thiersa, pogromcy Komuny. Jedna w oczy się rzuca doniosła różnica: po upadku Komuny jedynie traf ślepy ocalił Republikę. Tym razem ani sekundy nie była ona w niebezpieczeństwie. Walka emancypacyjna proletaryatu nie grozi jej zagładą ani w momencie porażki, ani w momencie zwycięstwa. Niema miejsca dla pretendentów, ani dla Boulangera. Francya sztandar tylko może zmienić z trójbarwnego na czerwony — pozostanie republiką.

Innym był w Anglii rok 1910, jak innemi były w ogólności dzieje wewnętrzne Albionu. Wyprzedził on rozwojem gospodarczym i społecznym resztę świata; stąd może poszło, że najmniej świadomie rozwój ów przeżywał, że przemiany, jakie przynosiło życie, najmniej wyraziście rysowały się w świecie idei, że po dzień dzisiejszy życie praktyczne trzyma w Anglii prym nad teoryą społeczną. Rozgrywają się wielkie walki socyalne, rodzą się pierwociny nowych stosunków; jednocześnie zaś myśl rewolucyjna, socyalizm nowoczesny, powolne jeno czyni postępy, czyni je zaś nie tylko w sferze robotniczej, lecz robi wyłomy w obozie posiadających. Demokraci czystej krwi, zapaleńcy postępu społecznego, sprzymierzeni z partyą pracy, rządzą pod starym sztandarem libeliberalnym, a mają za sobą połowę narodu. Jakżeż górują ci „liberali", pokroju Asquita czy Lloyd Georgea, swoim odważnym czynem, bezwzględnością, z jaką walą w długo konserwowane okopy feudalizmu, w oligarchię lordów, nad „radykalno-socyalistycznym" frazesem Brianda, czy Vivianiego, nad całą „trójbarwną" demokracyą kontynentu! Jak nie wiedziały „łby okrągłe" Cromwella, że wyrąbują drogę do władzy „trzeciego stanu", tak nie wie może Lloyd George, burzący „veto" lordów, że kiedyś uzna w nim jednego z wielkich swoich wyswobodzicieli „stan czwarty".

— —

Gdy na południu i zachodzie Europy wolność i demokracya czyni postępy, gdy Anglia bierze się do uprzątania rumowiska przywilejów, rywalizujące z nią Niemcy przechodzi lekkie drżenie, atmosferę świętego porządku i lojalności wiernopoddańczej porusza jakiś powiew wiatru. Robotnik niemiecki, wykarmiony taktyką walki legalnej, nie przyuczony do innego oręża, jak kartka wyborcza, naraz uczy się łamać postanowienia władzy, „zdobywa ulicę", daje się sprowokować i na gwałty żołdackie odpowiada pięścią i kamieniem. Hasło republiki, rzucone w Magdeburgu, rozlega się śmiało w parlamencie berlińskim. W całym szeregu wypadków socyalni demokraci biją razem z wolnomyślną lewicą liberalizmu — droga, wskazana po klęsce roku 1907 przez Jaurèsa, którego zakrzyczeli wówczas „ortodoksi" północno-niemieccy. Jednocześnie rośnie na południu prąd postępowy i liberalny, zwraca się przeciw Prusom. Słabe oznaki możliwych przemian. Doda im mocy romantyzm błędnego rycerza królewskości, kompromitujące naród i Rzeszę rządy osobiste Wilhelma II.

W Rosyi począł się rok pod znakiem ujarzmienia Finlandyi, zakończył rosyjskim samorządem miejskim dla Królestwa Polskiego i rozszerzeniem „podbojów" w Chełmszczyźnie. Świst rózeg w katorgach był akompaniamentem. W międzyczasie odbył się rozgłośny „powrót Rosyi do Europy". Zaczął się kapitulacyą wojskową: cofnięciem linii obronnej ku wschodowi, przesunięciem na Ruś i na Litwę „placu zboru" dla carskiej armii. Nastąpiła kapitulacya dyplomatyczna: dymisya Izwolskiego. Niebawem kapitulacya druga: wyrzeczenie się chwilowe namacalnych nabytków w Persyi. Na dnie tych kapitulacyi bez boju leżała jedna, wspólna przyczyna: gangrena, tocząca rząd i armię. Rewizye senatorskie ustały — zbyt wyczerpywał upust krwi przy wyrzynaniu mięsa, które gnije.

Austro-Węgry miały rok niespokojny, jakich wiele. Za Litawą tryumf „dualizmu" nad separatystycznem „stronnictwem niezawisłości" — zdegenerowanymi przez nacyonalizm w pruskim guście i przez walkę z własnym ludem epigonami wielkiego Koszuta. Przed Litawą daremne próby rozwiązania sporów narodowościowych przy zachowaniu istniejącego podziału na historyczne „kraje koronne" — produkt polityki różnoplemiennych dynastów, ćwiartującej żywe ciała ludów. Przy tem wszystkiem parlament wiedeński parokrotnie występuje solidarnie i dzielnie w sprawie budowy dróg wodnych, w sprawie drożyzny, w sprawie społecznej kultury. Poczucie odpowiedzialności przed ludem ratuje pierwszy parlament demokratyczny od zatonięcia w wirach walk między narodami państwa. Bo też nie co innego trzyma przedstawicieli tych narodów w gmachu przy Franzensringu, nie co innego spaja sztuczną strukturę monarchii, jeno dążenie do największej sumy swobody narodowej, wolności obywatelskiej, postępu społecznego. Konstytucya, demokracya, parlamentaryzm stanowią racyę bytu Austro-Węgier i długo będą dla nich źródłem mocy w polityce zagranicznej. Im zawdzięcza państwo ową stanowczość i siłę moralną, z jaką wystąpiło wobec Północy w marcu roku 1909. Polacy i Rusini, Czesi i Niemcy południowi potrzebują dziś Austryi. Gdyby jej nie było, należałoby ją stworzyć.

Przy okazyi przesilenia aneksyjnego podnosił „Fremdenblatt" zasługę opinii polskiej. Świeżo pod parciem tejże opinii zachwiał się gabinet Bienertha. Potrzebujemy Austryi, lecz Austrya potrzebuje nas. Jesteśmy w niej siłą potencyalną, możemy być potęgą czynną. Do ofiarowania jej mamy więcej, niż pieniądze na wojsko, niż kontyngent rekruta, więcej nawet, niż krew wszystkiej młodzieży kraju. Lecz żądać od niej możemy tego, co mają kraje zachodnie. W pewnych momentach żądać możemy więcej.

Dwiema drogami idzie nasza polityka parlamentarna w dobie obecnej. Większość naszych posłów głosuje w Izbie i w delegacyach poprostu za budżetem — ot, z tradycyi służalczej, bez wahań i namysłów. Mniejszość, stojąca poza Kołem głosuje przeciw, stojąca w Kole uchyla się niekiedy od głosowania, motywując to nędzą mas i odrazą do awantur wojennych. Uchwalając budżet, robimy to bez zastrzeżeń i bez wzajemności — odmawiając go, czynimy to bez wystawienia wyraźnych żądań. Zrozumiałe to u socyalistów, negujących istniejący ustrój społeczny i widzących manifestacyę przeciw niemu w odrzuceniu budżetu. Inaczej jest z opozycyą radykalną. Ta czyni podobnie, jak większość Koła — albo rzuca głosy, pozbawione wszelkiej doniosłości politycznej, albo wychodzi za drzwi, nieobecna na politycznej arenie. Milczy sumienie obywatelskie, które powinnoby nakazywać naszym posłom *iunctim* między ofiarami na rzecz państwa, a zdobyczami na rzecz narodu.

Paraliżuje polską politykę we Wiedniu, uniemożliwia pełne wykorzystanie dogodnego położenia naszego w państwie, uniemożliwia nam również wszelki krok naprzód ku stworzeniu w granicach Austryi zaczątków państwowości własnej, domowa nasza, społeczna krzywda, ślepy upór w odmawianiu praw masom ludowym. W roku 1910 nie po raz pierwszy zagrano w Polsce tragikomedyę sejmową, w której egoizm stanowy, zaślepiający nawet ludzi dobrej woli, połączony z małoduszną miękkością opozycyi, przyprawia rzecz publiczną o moralne i polityczne klęski. Nie po raz pierwszy w radnej i sejmowej sali głos Olrychów Szanieckich rozbijał się rozpaczliwie o brutalną obojętność większości. Lecz położenie trudniejsze, niż było, bo z krzywdą społeczną gmatwa się i kojarzy krzywda i waśń narodowościowa, wyzyskiwana bezwzględnie przez polityków krótkowzrocznych, a zapalczywych i rozżartych nienawiścią — sprawa ruska. Pod hasłem nieustępowania terrorowi stawia się opór postulatom Rusinów, pokąd nie wchodzą na drogę terroru. Pod hasłem walki z hajdamacczyzną zamyka się oczy na to, że każdy rok czyni położenie gorszem, nienawiść większą, walkę zajadlejszą i krwawszą. Aby Galicya mogła być Piemontem polskim, w czyn wcielić trzeba słowa, z któremi Naczelnik do dyzunitów się zwracał: „walcząc o wolność, wszystkich ziemi naszej mieszkańców uszczęśliwić pragniemy“. Trzeba wpuścić robotnika do sejmu i gminy. Trzeba dać samorząd kulturalny Rusinom.

— —

Położenie międzynarodowe poprawiło się w ciągu roku 1910. Nie poprawiło się dla nas. Na jego poprawie my zarobić możemy lekceważenie interesów naszych we Wiedniu, zniszczenie szkolnictwa prywatnego w Królestwie, wywłaszczenie w zaborze pruskim. W obecnym stanie rzeczy nie mamy wpływu na sprawy pokoju i wojny. Lecz oczu zamykać nam nie wolno na to, co przynieść może wojna, a co przynieść musi pokój zbrojny.

Nie wydaje on się dzisiaj tak mocnym, jakim był przed dziesięciu laty. Jest coś symptomatycznego w tem systematycznem, rokrocznem, comiesięcznem prawie zjawianiu się obecnem „groźby wojny“. Ileż było tych „gróźb“ w roku minionym? Sprawa mandżurska, sprawa kreteńska, sprawa perska... Nieukończona z nich żadna — a już czeka świat cywilizowany szereg nowych kwestyi: egipska w pierwszym rzędzie. Prądy panislamistyczne, wzmagające się ze wzrostem potęgi otomańskiej, powolne odradzanie się i wielkie zbrojenia Chin, imperyalizm amerykański i nierozegrana partya na Oceanie Spokojnym — oto cząstka tych zagadek, które nieraz jeszcze sen spłoszą z ócz przyjaciół pokoju i apostołów rozbrojenia.

Czy któraś z tych zagadek splącze się w węzeł gordyjski, przeciąć dający się tylko mieczem? To tylko pewne, że militaryzm w szalonym swym wyścigu dochodzi do granic, grożących ruiną państwom, że koszta „utrzymania pokoju“ stają się dla nich cięższe, niż sama wojna. To pewne, że armie dzisiejsze to moc nagromadzonej energii, wiedzy, żądzy czynu; że stają się one, zdaniem niemieckiego generała, kotłem, który para rozsadzi, jeśli nie otworzą jej ujścia. Armie te wyrosły już w potęgi społeczne. W każdem państwie agituje, spiskuje, czycha na okazye, wyzywa konflikty partya wojenna. Nie dla wiecznego pokoju wychowuje się młodzież polska. A wychowuje się tak, jakby nigdy wichura dziejowa porwać jej nie miała.

Dla nas rok nadchodzący rokiem pracy być winien, pracy na wszystkich polach, wytężonej, twórczej, ożywionej jednem pragnieniem, pragnieniem mocy. Jak rok miniony, tak i ten, co nadchodzi, będzie nam rokiem walki, walki przeciw wszystkiemu, co moc naszą wiąże i umarza, walki o zdobycie przestrzeni, w którejby naród moc swoją mógł rozwinąć. Czas leci dzisiaj szybko i znagła nadciągają burze: przeto w pracy i walce codziennej trzeba być jak ów żołnierz Mierosławskiego, który tornister składa u stóp wyłomu „iżby na takowy wdrapać się z samemi obowiązkami nabitemi w ręku“.

MARYA DULĘBIANKA.

JUŻ CZAS...

Żali to sen czy jawa? Jakieś mary z grobów powstają... Jakieś dziwne biją głosy na cztery strony świata...

Wężowe błyskawice oblatują horyzont z końca w koniec, a w błyskach ich jakieś poruszające się cicho szeregi... I widać podniesione w górę głowy i roziskrzone, rzucone w dal promienne spojrzenia...

I słychać jakieś dawno niesłyszane wołania... Którzy chleba wołali, choć im chleba i dziś nie dostaje, wołają wolności.

A którym ojczyzna zdawała się pustym dźwiękiem i w ludzkości chcieli ją roztopić, a za ojczyznę świat mieć cały, teraz pragną ją mieć blizką, swoją własną, wyzwoloną...

I którym orzeł polski był symbolem starych krzywd i starych błędów, dziś temu dumnemu ptakowi sami chcą skrzydła rozpętać na szeroki, wolny lot.

Przed ołtarze tej bolesnej Polski jakieś wstrząsające padają przysięgi i ślubowania. Niestrudzonego boju, i wierności i ofiary...

Więc wiosenne błękity obejmują naszą udręczoną duszę, co dręczona była nietylko całą męką niewoli, lecz niemniej grobową ciszą niemocy i upadku ducha, co tak długo zalegała polską ziemię po klęskami rozegranych bojach.

Ginęło co bohaterskie. W odosobnieniu przemijało co było wielkie. Śmierć zadzierzgnęła sztandar chwały narodu. Życie w bezchwalebną martwotę zapadało. A choć żywi nadziei tracić nie mieli, ani w najdalszej dalekości nie dostrzegali jasnej smugi drogi swej, ani w najgłębszej ciszy serc własnych nie słyszeli uderzeń tych młotów, które im kajdany rozkuwać miały.

Najczujniejsi na dobro narodu do spokojnej pracy nawoływali się wzajemnie, inni w trwodze i uniżeniu z oczyma wlepionymi w ciemięzcę nadsłuchując, czy nowych razów im nie gotuje, badali, co myśli, coby uczynić, czego się jeszcze zrzec, iżby mu wygodzić, nie drażnić silnego pana.

Tak ukorzony niewolnik nie budził już żadnego postrachu, i owszem utwierdzał w pewności, że można go do znaku wykreślić z listy żyjących do obcych organizmów wcielając.

Ku temu też szła coraz to śmielsza i coraz nikczemniejsza robota zaborców, psuta jedynie uporem austryjackiego przeniewiercy, co nie chciał czy nie mógł i w swoich granicach osaczyć ofiarę należycie i na celne strzały tryumwiratu podać.

Lecz nagle zmieniło się teatrum. Z dalekiego, azyatyckiego nieba padł grom.

Piorunowa wichura przeszła nad domem wroga i naszym własnym, zatrzęsła jego murami, zwiała dach, porysowała ściany. A przyszła nocą ciemną, kiedy wszystko w głębokim śnie pogrążone było, tedy śpiących zbudziła, a zbudziła nie na trwogę lecz na radość, bowiem dom snu był domem więzienia, i oto przez zerwany dach ujrzeliśmy nagle długo niewidziane sklepienie niebios, i przez zręby potrzaskanych ścian buchnęła nam w piersi nowa fala życia.

I choć gęste chmury pokrywały horyzont, uczyniło nam się jasno, i choć pioruny biły w węgły nasze, a w oczach naszych padali co najlepsi bracia, do płaczu żałoby nad ginącymi łączył się śmiech nadziei i radosne okrzyki swobody.

A potem?

A potem stróże więzienia co prędzej przyszli zarzucać gruzami i deskami zabijać przeźrocza jego, a którzy stawali u otwartych wylotów, iżby walić dalej strzaskane ściany a choćby tylko ujrzeć ten upragniony świat, trupem ich kładli lub do lochów gnali.

I znów zrobiła się cisza ciężka, złowroga, aliści już nie cisza snu, ani bynajmniej śmierci lecz jaka się czyni przed nową burzą, nowymi piorunami ciężarna. Bo burza nie przeszła jeszcze, przytaiła się tylko; jeszcze nie wyładowała wszystkich swoich sił. Wcześniej czy później rozpętać się musi, zmurszały gmach rozwalić. Dokonać rozpoczętego dzieła.

Tymczasem kiełkują już posiane przez nią ziarna na nowy plon.

Najurodzajniejszem, jakie na naszą glebę rzuciła, to ziarno uświadomienia, że w tym domu, jakim on był dotąd, dalej już żyć nie możemy. Że czas nam już myśleć o radykalnej przebudowie jego. Nie patrzeć dłużej tak biernie na rozdarte a coraz to bardziej dewastowane włości nasze. Nie nosić biernie wrażych obroży, wówczas, gdy najwątlejsze, najdrobniejsze ludy już je zrzucają. Czas stanąć do jakiejś twardej, realnej samoobrony w pełnej świadomości, że im więcej będziemy karku naginać i w jarzmo ulegle go podawać, tem więcej będą je nam zaciskać. Zamiast marzyć tylko i śnić o niepodległości, przygotowywać się do czynnej walki o nią. Stawić ją na bliższym planie i drogę odpowiednio torować. Gdy cel daleki i robota nie pilna: podejmować tę robotę tak, jakby już w najbliższej przyszłości gotową być miała a postępować będzie zgoła innym trybem i tempem.

Oto moment psychologiczny, jaki przeżywamy.

Nic dziwnego, że w takim momencie postępowe stronnictwa dążenie do wyswobodzenia i zjednoczenia narodu wysuwają na czoło swoich programów. Że wszystkie postępowe żywioły bojowymi okrzykami zeznają cześć posiwiałemu w wiernej służbie dla swego narodu polskiemu rewolucyoniście. Że młodzież do broni się zaprawia. Że są, którzy się już troszczą, jakby żołnierskie rzemiosło pod obcą komendą sprawowane, ku obronie własnej pożytkować.

Nie jest to wszystko dziwnem. Ani strasznem niech się nikomu nie wydaje. Niech nikt rąk nie łamie — co, może znów powstanie? Może znów nowe klęski?

Nie. Historya i krytyka dziejów porozbiorowych i ostatnich walk orężnych wykazując z całą

jasnością wszystkie nasze winy, błędy i przyczyny klęsk, stwierdziły, że nie orężne walki i powstania były nieszczęściem narodu, ale nieszczęściem było, że tak znikomo drobna cząstka jego w nich udział brała. Że, jak słusznie przedstawiał w swym odczycie Bolesław Limanowski, w 31 r. nie było dosyć ducha rewolucyjnego, zaś w 63, gdy się ten duch objawił, nie było już ani wojska ani środków do walki. Zresztą walka ta prowadzoną być musiała ciągle na dwa fronty, nietylko przeciw rządom zaborczym, ale i przeciwko zwartej a ociężałej w egoizmie klasowym masie własnego narodu.

Gdyby atoli — wbrew nowoczesnym a coraz silniej budzącym się prądom i żądaniom pokojowego załatwiania wszelkich kontrawersyi i porachunków pomiędzy narodami — pisanem było naszemu stanąć znowu do walki orężnej, doświadczenia przeszłości ustrzegłyby go niezawodnie od dawnych błędów. Dziś nie stanąłby on już chyba do walki bez broni, bez środków, bez ludzi i bez ducha rewolucyjnego.

Ale właśnie dlatego, ażeby mu w danej chwili tego wszystkiego nie brakowało, musi nie lękać się i mówić i myśleć o walce orężnej, musi przygotowywać się do niej wytrwale, systematycznie, z całą rozwagą i świadomością; musi budzić w sobie i rozpalać tego ducha rewolucyjnego, który rodzi się z głębokiego czucia krzywd i cierpień narodu, jego niewzruszonych praw do wolności i świętego obowiązku nieustannej walki o nią.

A gdyby był gotowy i przygotowany do tej walki, bodaj czy potrzebowałby toczyć ją z orężem w ręku. Bodaj czy ta siła sama, jaką pozyskałby przez takie pogotowie wojenne, nie otwierałaby mu jedną po drugiej bram wolności.

Więc niechaj będą błogosławione te podniesione głosy, i żądzą niepodległości roziskrzone oczy tych pierwszych jej gońców w naszej dzielnicy.



MARYA MARKOWSKA.

ORZEŁ.

Żyłem-ci Orzeł obłąkany,
W żałosnem biciu serc niewiela...
Nademną rosły wzwyż kurhany,
Rosły piołunu gorzkie ziela...
Gdzie przycieś głazu — niema, sroga,
Pod którą serce się spopiela —
Chrzęstliwie liść opadał suchy,
Wiały się jeno ostów puchy...
Cierniem porosła ku mnie droga,
Wiały się jeno ostów puchy,
Chodziła żałość, pustka sroga...

Któż mię dźwignie, wyniesie,
Kto wrzeciądze otworzy
Na słoneczny świat boży,
Gdzie się wicher przewala po lesie,
Jako morza roztocz łany stoją
Pod zalewem słonecznego żaru,
Kędy Witeź ze skrzydlatą zbroją —
Nieulękły — idzie po kwiat Czaru?
Kto mię dźwignie?

. . . .

A przeciw wszystkim i przeciw wszystkiemu
Wżdyć-em cię, Ziemio moja, umiłował,
Wżdyć-em ci serca i wiary dochował
Przeciw wszystkiemu!

Moc moja z ciebie, a twoja moc ze mnie.
Wydźwignę ciebie z prochów grobowiska,
Kamień odwalę, co dźwierze przyciska,
Kędy cię żywą pogrążono w ciemnie.

Kłamią, co mówią, żeś jeno z popioły
Świętemi urna i całun zetlały!
Twój głos nas burzą gna w bojowe szały!
Twój głos nas w Zemsty zamienia anioły!

Idziemy!
W mrowie przyziemne szare
Tchnąć naszą wiarę.
Z wolą, czy poniewoli —
Z nami! z nami!
Z orłami!
Idziemy!
A droga nasza w krwi!

Idziemy...
A droga nasza... droga...
. . . .
Cóż my dla was?... aktory!...
A dokoła publika,
Co raz klaszcze, raz syka,
Gdy nie do smaku gramy,
Nie schlebiając gustowi.

— Niemasz pana nad ułana —
Z podkręconym wąsikiem,
Ostrogą, pałasikiem...
A my nie salonowi
I nie do smaku gramy...

Krzywią się tkliwe damy,
Że wychodzimy z roli
Pięknego bohatera...
En beau się nie umiera
W scenicznej aureoli...
Jeno tak... ordynarnie,
Zgoła bez sentymentu,
Te katusze, męczarnie,
Rzecz przykra, pełna wstrętu.

Cóż my dla was?...
My po za waszem życiem,
Na jego marginesie.
Fala nas rwąca niesie
Zawsze obok łożyska,
Gdzie się sennie przeciska
To życie narodowe.
Czasem na naszą głowę
Miotnie się zeń garść piasku
Szyderstw z szeptem: hołota!
Czasem padnie garść błota...
Ciżba leniwa, syta,
Ryknie głucho: bandyta!

Tę jeno zapomogę
Mamy w śmiertelną drogę
Od naszego narodu...
Bo i cóż my?.. aktorzy!
W męce wiecznego głodu
Wolności, obłakańcy
Czynu, »sprawcy niedoli«,
Jeszcze gorzej — powstańcy!

A nas tak strasznie boli,
Takiem brzemieniem tłoczy
Ta obojętność wasza,
Wasze wystygłe oczy,
Wasze wystygłe serca,
Ta waszych dusz zgnilizna,
Co zaraża, uśmierca
Mocy hasło: Ojczyzna!

Cóż my dla was?...
Któż jest, kto pójdzie z nami
Na tułacze drogi...
Kto się dźwignie myślami
Do naszych dusz pożogi..
Kto nas ukocha,
Serca krwawemi łzami
Nad męką naszą zaszlocha...

Gdzież jest, kto nas zrozumie,
Nie umknie chętnej dłoni,
Potępionego w tłumie
Od wrogów złych osłoni?...
Bo wszakżem ja zabójca
I matki swej i ojca,
I dziatek swych i żony..
Bomci ja potępiony
I szaleństwu oddany!...
. . . .
Krwawe na mnie łachmany,
Popadana koszula,
W błociem, w brudzie staplany,
Głód mi skręca wnętrzności,
Łańcuch wżarł się do kości,
Wybawieniem stryk... kula!

Mnie katorżne więzienia,
Mnie etapy, konwoje...
Jużci z »zucha« cień cienia,
Już ma »orzeł« za swoje...

Strejki nagie, głodowe,
Świst kańczugów, przykłady...
Jużcim hardą zgiął głowę,
Jużcim niemy i blady...

Sołdat — bydlę plugawe,
Mnie, „wolnego człowieka",
Mnie, com w słońce szedł, w sławę!
Jako ścierwo wywleka...
Rzuca, niby łachmanem —
On mi władcą, on panem!
. . . .

Któż jest, kto pójdzie z nami
Na szlaki zapomnienia,
Kto ogarnie myślami
Wszystkie cierpienia,
Katusze ciał i duszy...
One godziny,
Gdy duch najtęższy się kruszy,
Jako naczynie z gliny...

Któż jest, kto zgłębi, ogarnie
Nasze męczarnie?...
Wszakci my byli Ludzie!

A wam, o »przyjaciele«?
Wam czem jesteśmy — nie wiem...
W ustach waszych wciąż: bracie!

A nic o nas nie wiecie...
Książki o nas piszecie,
Jeno że nas nie znacie...

Domy macie, kąt cichy,
Tu bogaty, tam lichy,
Ale własny, spokojny...
Ludzie z was pożyteczni,
Słowne toczycie wojny,
Każdego z was uwieczni
Pamięć wdzięczna narodu.
Nie umieracie z głodu,
Macie czas na naukę,
Na zabawę, na sztukę...
I nas nawet lubicie,
Póki naszem jest życie.

Nie szczędzicie kolacyi,
Uścisków, weneracyi,
Chciwi dzielnych »kawałów“,
Dumni z celnych wystrzałów...
Opowiadań słuchacie,
Potem je powtarzacie,
Bohaterstwa impresaryusze!
A zżarł wam egoizm dusze!
Grodzicie się nim, jak murami,
Przed — bohaterami!...

Zimno mi w waszym domu!
Radość wasza nieszczera...
Głucha niechęć w was wzbiera
Za to uczucie sromu,
Za to, że się wstydzicie...

Drażni was nasze życie,
Choć niby łzy wyciska,
Że to dla ideału...
Ale brak stanowiska,
Ale brak kapitału...

Witają czułe słowa,
Mina tkliwa i łzawa,
Dłoni częste uściski,
Ale wciąż ta obawa,
By czasem na grunt ślizki
Ofiar nie zeszła rozmowa...

Wam nie dziwne ofiary:
Byle ich od was nie żądano.
Wy — ludzie innej miary,
Wy — ludzie z innej gliny!
Więc ani snu godziny,
Ani swej kawy rano,
Ani kawałka chleba
Z tego, co wam potrzeba
Nie dacie... innemi słowy,
Nic, coby mogło porządek domowy
Zmącić i zepsuć tryb życia pogodny,
Dostatni i wygodny.
Sławą naszą tyjecie.
Was wielbią, o nas głucho...
Łyk łykowi na ucho
Szepnie: to ten, no, wiecie...
Lubicie protekcyonalne tony,
Mówicie: ludzie nasi...
Lubicie hołdy i ukłony,
Rewolucyi mecenasi!

Chętnie krytykujecie,
Nad poległym zapłaczecie,
I książki nawet piszecie —
Ale zawsze tak, aby nikomu
Nie dać zamącić życia »w cichym, własnym
[domu«.

. . . .

Tedym jest sam.
Ku śnieżnym idę szczytom,
Na których zorza płonie
Rumiana.
Oddaję się błękitom.
Cisza kojąca dłonie
Kładzie, gdzie krwawi rana...

Sam!
Takim spokojny, czysty,
Tak bardzo już daleki
Od waszych dni poswaru...
Hejnał mi wiekuisty
Grają dźwięczące rzeki
Lodu...
Sam... Idę po kwiat Czaru
W powietrza modrość jasną,
Chłodną, czystą, świetlaną...
Sam... jeno z duszą własną,
Jeno z serdeczną raną.

We mnie moc!
Samem-ci ją hartował,
Pancerzył i wykował
Z mojej męki, z mej krwi.

Władnym jest
Górnie nad moją głową
Nieść chorągiew bojową,
Iść — i wieść!
Moja droga daleka...
Idę nią już od wieka
Ja — rycerz wiecznie młody!
Wojom poległym cześć!
A mnie z żywymi iść,
Żywych mi wieść
Przez mękę i przez krew
Na życia gody!

Jam w sobie zwarta moc,
Jam siła,
Co z ciemni się dobyła,
Z długiego wieków śnicia.

Szli przedemną rycerze,
Męczennicy, proroki
Przez trupów bratnich zwały,
Patrzący w on wysoki
Szczyt, w czarodziejską zjawę...

Przez znoje krwawe
W mękach się wyważały
Z dusz najgłębszej calizny
Te klejnotne bezcenne kamienie,
W jedno stopione lśnienie,
W wielkie słońce Ojczyzny —
W czystej, modrej przestrzeni
Na onym białym szczycie
Z tęcz wite i promieni.

Ja wiem, ja widzę!
Bom z kości kość, krew z krwi
Tych, co przedemną szli!

Miłuję każdy czyn
Co łańcuch żre powoli —
Zacny jest, godny czci —
Jeno że nam z niewoli
Nie wyjść przez pracowity,
W jarzmie chodzący trud!
Że nie czekać na świty:

Myślą Orlicą,
Bagnetów stalą jasną
Skry skrzesać, co nie zgasną,
I dzień ściągnąć na ziemię miecza błyskawicą!

Ten jest, co nie umiera,
Co przeoruje świat,
Co gnijące bagniska
W życia zmienia źródliska:
Miecz bohatera!

Kto go ujmie w bijącej godzinie,
Ten się życiu narodził nanowo,
Skrę rozpętał gromową,
Nieśmiertelny — nie zginie!

Żołnierska sprawność dłoni,
Serca, dusze w pożarze —
Do broni! hej do broni!
My nie czynu pieśniarze,
Ale sam Czyn wcielony!
Pułki my, bataliony,
Co Ojczyznę wyorzą kulami!
Z wolą, czy poniewoli,
Z nami!
Z nami, z Orłami!
My Ojczyznę wyorzem kulami —
Do broni!



DR. MICHAŁ JANIK.

OKOŁO TEATRU LWOWSKIEGO.

Teatr jest pierwszorzędnym posterunkiem kultury narodowej, jednym z jej najwyrazistszych przejawów zewnętrznych, jej najdzielniejszym środkiem popularyzatorskim. Wiedzieli o tem starzy Grecy w dobie rozkwitu umysłowego, gdy uważali przedstawienia sceniczne za rodzaj świąt narodowych i tyle im poświęcali troski, starania i nakładu. O ogromnym wpływie teatru na szerokie masy wiedziało dobrze średniowiecze, gdy odbywało przedstawienia w świątyniach. Wiedziały o tem szkoły jezuickie, gdy wprowadziły przedstawienia teatralne jako jeden z najskuteczniejszych dla swych celów środków wychowawczych. Zmieniły się czasy, nie zmieniło się znaczenie teatru. Wszakże urządzamy rodzaj przedstawień teatralnych nawet wtedy, gdy czcimy najdroższe pamiątki i oddajemy hołd zasłudze, gdy gromadzimy zwolenników około sztandaru ideowego i przygotowujemy posiew pod pracę przyszłości. Było tak i będzie po wszystkie czasy, przy ciągle nowych zmianach treści i formy, ponieważ człowiek, istota nawskróś towarzyska, myślom swoim i uczuciom musi dawać wyraz publiczny, ponieważ w ten tylko sposób można popularyzować najpiękniejsze odczucia społeczne i indywidualne i postęp cywilizacyjny prowadzić naprzód. W czasach demokratyzacyi, gdzie wszystko musi być poddawane pod kontrolę opinii publicznej, znaczenie teatru i wszelakiego rodzaju przedstawień urasta słusznie do wielkiej potęgi, która uczy równocześnie i bawi i pozwala na najdoskonalsze zjednoczenie umysłów.

Jeżeli wpływ teatru niezmiernie jest ważny ze względu na to, co niesie ze sobą dobrego, w równym stosunku teatr zły sprowadza groźne szkody społeczne. Rozkładającemu się światu grecko-rzymskiemu towarzyszył teatr zły, oddany Muzie podkasanej, sceptyczny wobec najżywotniejszych zagadnień filozoficzno-społecznych, usprawiedliwiający najpo-

dlejsze instynkty, teatr beztroskiego szaleństwa wśród ogólnej zgnilizny, lupanar umysłowy. W innych czasach i w odmiennych stosunkach despotyzm, gdziekolwiek był, pozwalał na tingle i balety, zakazywał sztuki poważnej. Niech tłum szaleje, niech pożąda wyłącznie użycia, mniej będzie szkodliwy. Walki gladjatorów i byków nie zaszkodzą przywilejowi, rozpasanie płciowe nie wyda bohaterów odwetu.

Czyż tedy teatr ma być uroczyskiem, na którym rozgrywają się w podniosłym skupieniu same tylko tragiczne przejawy życia ludzkiego? Nie! Teatr powinien obejmować pełnię życia, smutek i wesołość, rozczarowania i nadzieje. Ponieważ zaś ludzkość dąży do szczęścia i zdobywa je statecznie, choć powoli, uśmiechów i radości będzie coraz więcej, nadzieja coraz pewniej będzie przemawiała do ludzkich pokoleń. Ale uśmiech i radość nie mają nic wspólnego z lubieżnymi skomleniami alkoholików i psychopatów, z rajfurstwem i histryoństwem. Nie znaczy to dalej, jakoby teatr nie miał pokazywać grzechów i błędów, skoro zna je życie, skoro wszystkie stosunki życiowe stały się treścią nowoczesnego dramatu, ale musi unikać sztuk, gdzie dla sensacyi i podłechtania zblazowanych nerwów wykoszlawia się prawdę życia, przedstawiając je jako stek brutalnych scen, rozpasane zbiorowisko poziomych instynktów, choćby to były przedstawienia najbardziej kasowe, przypadające do gustu bezmyślnego motłochu w łachmanach czy jedwabiach. Zbytecznem jest rozwodzić się, w jak wysokim stopniu teatr może służyć pracy narodowej i moralnej.

Jeżeli dobry teatr może odegrać niesłychanie ważną rolę w życiu każdego społeczeństwa, jakże wysoko wyrasta znaczenie teatru dla narodu, który w tym jedynie przytułku może do pewnego stopnia publicznie pielęgnować kulturę swoją, ideały życiowe i narodowe, jak to się u nas dzieje, w Królestwie, na Litwie i w Poznańskiem, poniekąd i w Galicyi. Jak ogromne znaczenie ma teatr w takiem mieście jak Lwów, który, położony na rubieży cywilizacyi, winien szerzyć piękno kultury ludzkiej i polskiej nie tylko wśród najbliższych, ale i wśród tych wszystkich, którzy wspólną z nami mają ojczyznę, z którymi dla dobra obopólnego zgodnie współżyć powinniśmy i skupiać ich pod znakiem tego, co najpiękniejsze, a co im podawać możemy w języku polskim.

Czy społeczeństwo polskie we Lwowie ma należyte zrozumienie ważności takiej placówki narodowej, jaką jest teatr? Niestety nie. Świadczy o tem choćby ta okoliczność, że w mieście dwustotysięcznem istnieje zaledwie jeden jedyny publiczny teatr polski, że szerokie rzesze, tworzywo narodowe, są tej nauki i rozrywki pozbawione, że gdyby nie wysiłki amatorskiej trupy robotniczej, podstawa narodowa naszego miasta byłaby wyłącznie skazana na szynk i ulicę. Żadne niedomagania finansowe nie usprawiedliwią rady miasta kresowego, że nie zbudowała dotychczas sceny dla mas pracujących, że królując na „Strzelnicy“ przy pomocy „jedynie narodowych demokratów“, karygodnie zaprzepaszcza najżywotniejsze interesy narodowe, że nie stara się o to, aby szlachetne słowo polskie rozniecało światło dobroczynne wśród opuszczonych, wydziedziczonych i nieuświadomionych. Fakt smutny niezmiernie, tem smutniejszy, że prawdziwy aż do jaskrawości.

Smutnej prawdy nie usprawiedliwi wymówka, że zbudowano niemałym sumptem na miejscu najdogodniejszem wspaniały gmach miejski dla sztuki narodowej. Pomijając bowiem uwagę, że jeden teatr to dzisiaj bardziej niż za mało, należy dodać, że zbudowanie gmachu to dopiero połowa i mniejwartościowa spełnionego obowiązku. Chodzi o to, czy okazałej budowie odpowiada piękno wewnętrzne, rzetelny kult szlachetnej sztuki dramatycznej. Tego niestety powiedzieć nie można. Przez dwa sezony ostatnie teatr lwowski nie był świątynią sztuki, mimo wystawianych niedbale sztuk narodowych, był raczej przybytkiem Muzy podkasanej w tiulach operetki. Toczyły się o to wojny w miejskiej komisyi teatralnej, których finałem było oplwanie w „śmigusowych dziennikach strzelnicowych“ tych właśnie członków komisyi, którzy wołali nieprzerwanie o podniesienie poziomu artystycznego, o wyeliminowanie rozpusty, a wprowadzenie sztuki rzetelnej.

Gdy mówi się o wadach teatru miejskiego, dwa słyszy się kontrargumenty. Pierwszy, że dzierżawca musi przecież żyć, musi starać się, aby kasa dopisała, aby starczyło na krociowe wydatki. Daliśmy na to odpowiedź wyżej, że teatr nie powinien być przedsiębiorstwem finansowem, a jeżeli musi nim być do pewnego stopnia, nie wolno mu zaprzepaszczać dobra moralnego dla brutalnej spekulacyi. Dzierżawca musi umieć połączyć własny interes z dobrem sztuki, inaczej nie odpowiada zadaniu, a stąd proste wnioski. Dla miłości dzierżawcy nie wolno narażać nieletniej młodzieży na paskudztwa i nawet starszym nie wolno dawać tak osobliwej podniety, boć lubieżność starców jest stokroć wstrętniejszą, niż pożałowania godna lekkomyślność młodzieży. Przyczem niezrozumiałem się wyda, dlaczego sztuki dobre z zakresu dramatu i komedyi czy nawet operetki, mniej mogą liczyć na powodzenie kasowe, niżeli odwary z wiedeńsko-budapeszteńskich czeluści. Tak złego sądu nie woluo mieć o polskiem społeczeństwie Lwowa. A gdyby się go miało, nie wolno żadną miarą wtórować instynktom opasłych trzęsibrzuchów.

Drugi kontrargument jest poważniejszy. Teatr lwowski, dając dramat, operę i operetkę, ma istotnie nielada trudności do pokonania. Praca dyrektora teatru jest w tym wypadku niemal ponad siły. Ażeby podołać zadaniu, musiałby poprzestać na roli administratora i zachować sobie tylko ogólną kontrolę. Do pracy zaś nad repertuarem powinien powołać dwóch kierowników artystycznych, o ile możności równocześnie reżyserów. Próby, czynione w tym kierunku, na razie zawiodły. Dyrekcya powinna je wznowić, bo tylko wtedy liczyć można na podniesienie poziomu artystycznego naszej sceny, i dąwać rzeczy dobre w sposób względnie bodaj poprawny. Rada zaś miasta i Wydział krajowy, widząc dobre chęci i usiłowania, nie zawahałyby się zapewne przed niejedną ofiarą, aby poprawiony stan rzeczy utrzymać i poprowadzić teatr do coraz wyższego rozwoju. Jeżeli to nie nastąpi, teatr pozostanie budą kuglarską, odpłoszy wybitniejszych artystów i będzie nadal bezwartościowym, a nawet szkodliwym dla sztuki narodowej i dobra społecznego. W rozpoczętym sezonie widać lepsze chęci ze strony dyrekcyi. Nie poszły na marne nawoływania komisyi teatralnej, nie poszły na marne przykrości osobiste. Trzeba to skonstatować jako zdobycz dodatnią. Jeszcze więcej dobrej woli ze strony dyrekcyi, a rezultaty mogą być jak najlepsze i dla sztuki i dla przedsiębiorstwa.

Niemniej sprawa równoczesnego utrzymania trzech działów teatralnych pozostanie niebezpieczną i ciągle zdolną wywoływać przesilenia. Jeden dział może zawsze mścić się na drugim. Dlatego, jeżeli pożądanem jest, ażeby zaczęta w nowym sezonie równowaga dotrwała szczęśliwie do końca, miłośnicy teatru i rada miasta muszą raz nareszcie zastanowić się na seryo, czy w teatrze miejskim należy nadal trzy działy utrzymywać, czy nie należy dramat oddzielić i pomieścić w osobnym gmachu, nakoniec postarać się jak najprędzej o zbudowanie

teatru ludowego. Są to kwestye piekące, które ojcowie miasta powinni w niedługim czasie rozwiązać, jeżeli chcą uchodzić za troskliwych opiekunów i stróżów polskości Lwowa, jak to umieją „na gębę“ opowiadać.

Ściśle z teatrem łączy się sprawa założenia szkoły dramatycznej. Artyści bowiem nasi w ogromnej większości są czystej krwi dyletantami, skutkiem czego przedstawienia przynoszą najbardziej prowincyonalne niespodzianki. Nie należą zaś one do przyjemności. Kardynalnym i niemal ogólnym błędem artystów jest szpetna dykcya, poprostu nieumiejętność mówienia po polsku — i to zarówno ze względu na wymowę, jak i na gramatykę. Tolerować tego niepodobna, a jedynym na to środkiem: dobra szkoła dramatyczna. Sam talent nie wystarczy, bo często manieruje się i zawodzi. Dzisiaj wszystkiego trzeba się uczyć. Minęły czasy złote, gdy dość było „urodzić się“.

Niechaj tych kilka niewyczerpujących uwag posłuży za temat do dyskusyi i przyniesie pożytek sztuce narodowej we Lwowie, której pielęgnowanie jest u nas naprawdę pierwszorzędnym obowiązkiem narodowym. Dyskusya rozumna sprowadzi czyny rozumne, — a o nic innego nie chodzi.

STANISŁAW BACZYŃSKI.

ANDRZEJ STRUG.

I.

Wyszły rycerskie szeregi w mrok na boje ofiarne...

Piętrzył się im zwał bezpłodnych tęsknot i dumań u nóg, lecz oni zapatrzeni w daleki blask jutrzni i w podzwonną ciszę przed bojem ostatnim, zasłuchani przed burzą dziejów, stali ramię przy ramieniu, głowice mieczów dzierżąc w dłoni potężnej...

Czekali znaków na ziemi, na niebie, na lądzie i morzu, wsłuchani w szemrzący strumień krwi, co pod nogami wartko płynął, wzbierał i dalej u krańców horyzontu limanem krasnym zatapiał szmat świata... I od czasu do czasu po męskiej twarzy, z jasnych oczu spłynęła łza cicha, nieznaczna w strumień i biegła z nim w dal do morza... W tysiącznych walkach czekali na hasło ostateczne, na głos dzwonu narodów, by pracowicie zacząć dzień nowy, spędzony znów w żmudnem czekaniu... Cisza dookoła zabijała tysiące, a oni z kamiennem sercem czekali, kryjąc ideał w wnętrzu swej jaźni.

Nie zawsze stali w słońcu i chwale... ongiś niedawno jeszcze ryli podziemny tunel dla słońca, jak rycerze z baśni dziecinnych, pragnąc zerwać je z nieba i kazać mu świecić w norach wilgotnych, w dusznych fabrykach i wszędzie, gdzie serce ich męskie czuło niedolę. Na bój pójdziemy, na bój ostatni, mrze bowiem i robotnik w twardej doli, marzną w zimową noc chude ciałka jego dzieci, zdycha inteligent pod bramami strojnych pałaców, a wreszcie giną tysiące braci naszych wśród mroźnych stepów i rozłogów Mandżuryi na wschodzie słońca...

I pochylało się tysiące głów w rozmodleniu zbożnem z ręką na sercu i mieczu obosiecznym, nie o zmiłowanie prosząc, lecz przysięgę twardą na ostatni dech składając że zginą, lecz słońce zaświeci... Ku jutrzni dążym, lecz siła nasza, wiara w świętość celu wyzwoli ją z nocy cieni... Byle raz, byle wreszcie módz walczyć, bo oto zgięły się barki i grzbiety nasze nad kasztami, w zaduchu suteryn, zginęły tysiące braci naszej w kazamatach więziennych i sybirskie tundry wzywają głosem zamarłych kajdaniarzy o zemsty godzinę, o oręż świetlny i słońce...

Woła krew braci naszej, ginącej na dalekich krańcach świata o pomstę śmiertelną i wygnańców głos żałosny śpiewa nam tęsknotę ich bojową i żal za krajem łąk rozległych i pól, gotowych do starcia się serc mężnych z tłumem spodlonych zdrajców świętej sprawiedliwości.

Przychodzą w noce czarne a ciche, tłumy straceńców i w tłumach poległych z rycerską powagą, z ostrem spojrzeniem i z wyrzutem niemem patrząc w oczy. Światło księżyca gra seledynem na rycerskich koncerzach i stalowych zbroicach. Pytają:

Czemu leży odłogiem zbroica?
Czemu ugór z wiosną nie zasiany?
Czemu miecz rdzewieje ze stali?

Przychodzą mary straszne do łoża naszego, a wszędzie oko nasze widzi krew bratnią niewinną...

Słońce! Idziem ku tobie od wieków w niestrudzonej wędrówce! Zapatrzeni w twe blaski, zasłuchani w szmer zegara dziejów. Daj nam możność, siłę i moc regulować światy twym zmiennym blaskiem... Nie! Zarzućmy bracia sznur na słońca okrąg, wytężmy swe siły, dozgonny sojusz zawrzyjmy w tej mocarnej walce i siłą olbrzymów ściągnijmy tu na ziemię słońce! Niech nie będzie płaczu ni skargi wśród nas za krwawy nasz trud, niech ni jedno oko nie zabłyśnie łzą zmęczenia, zawrzyjmy usta, by nie wydały jęku boleści i dalej nieustraszeni ściągnijmy słońce tu na ziemię, by jasnością swą ogrzało żebraka kalekę i wyschłą pierś matek robotniczych i dzieci chuderlawe, by w jasny, biały, wieczny dzień płynęły dźwięki pieśni naszej, w boju wśród pól rozległych i łąk kwietnych i cienistych lasów i by w to święto wielkie krwawił się przesiąkły krwią poległych za sprawę szmat płótna... nasz sztandar świąteczny...

Naprzód bez łamań się wnętrznych, bez żalu i tęsknot ku domowym wrotom i ciepłu starych komnat ojcowskich...

Płynęły hasła przez masy szare, przez ciemnice i piwniczne sklepy nędzarzy, przez lud wiejski, co wyorał ciężką Dolę swą na ojczystej niwie...

Budziły tęsknotę dziwną jakąś i nastrój świąteczny i płomieniły oczy nadludzką potęgą i siłą, żarem nieugiętej żądzy ku światłu, rozpalały zgromadzony materyał i pożar olbrzymi wznieciły... i znojną walkę...

Dzieje święte przeszły i godne uwagi.

Byli bohaterowie i zginęli, a ślad po nich pozostał w duszy mas, w sercach czujących spodlenie i gorycz niewolnictwa. A świat co zginął, lecz żyć winien w nas do końca żywota naszego, ocala z zapomnienia twórca Andrzej Strug. Na grobie rewolucyi wyrósł. Jest jej synem i towarzyszył jej duszą i sercem przez trwanie jej długie... Przelała w niego ona swe dzieje, włożyła weń odczucie duszy tych nieznanych, co pokotem kładli się w mroki, pracując dla idei wewnątrz siebie, dla sprawy wielkiej, co przeżarła całą duszę i kazała im służyć i walczyć. Strug, pogrobowiec rewolucyi, jest koniecznością życia, jest twórcą, co zharmonizował w pełni swe dyspozycye literackie z życiowemi zjawiskami i dlatego rzeczy jego nigdy się nie znudzą. Niema w nich sentymentu, gdyż ten zaznacza swą nagość w dziełach miernej wartości; jest zato spokój i głębokie zrozumienie psychicznego fermentu w czasie rewolucyi i w momencie jej oczekiwania. Zdaje się niekiedy, że nie przeprowadza analizy zjawisk duchowych swych bohaterów, lecz słucha spowiedzi męczeńskiej jakiejś w poważnej kruchcie dziejów i tam, gdzie dusza czysta nadaje jej tony, ognia zapału i wiary, rozgrzesza ją nie sentymentem, lecz objektywnem zrozumieniem. Bohaterowie jego to dusze ciche, spokojne w swym trudzie i męce, wskutek wiary rozpierającej ich piersi młodzieńcze. Ludzie, co powiedzieli sobie, jak średniowieczni krzyżowcy-woje, lub spartańscy żołnierze „z nią albo na niej“, z tarczą lub na tarczy trupem! Albo świetlany ideał duszy naszej stanie się rzeczywistością, albo śmierć. Wiara przenika wszystkie postacie Struga, począwszy od bohatera „Jutra“ a skończywszy na „Starym sympatyku“.

Ta wiara, nie mająca uzasadnień, ani w zewnętrznej rzeczywistości, ani w ideologii oficyalnej, rodzi się gdzieś w zakątkach, w podświadomym bycie. Skąd płynie i jakie są jej źródła, z tego sprawy sobie nie zdają bohaterowie, lecz czuć tam w głębi słów ich i czynów, że mimo postępków, niekiedy wykraczających przeciw programowi, drzemie w nich jakaś uczciwość, „honor“ rewolucyjny. Podczas gdy u pisarzy porewolucyjnych w Rosyi wiara bohaterów jest dziwnie chwiejną, zatraca jasność i wyrazistość celu, ideał usuwa się w mgłę, a na jego miejsce wkracza pesymizm i nihilizm ducha (Andrejew, Arcybaszew) postacie Struga nigdy nie zatracają tradycyi bojowych. Mimo, że prowokacya, zdrada, przeżarła szeregi bojowników, sztandar wiary pozostał, ideał ocalał, może nie w tej formie, co dawniej, lecz w każdym razie nie zanikł i nie pogrążył przeszłości w niebycie.

Motyw wiary jest, o ile mi się zdaje, jedną z najbardziej zasadniczych cech, charakteryzujących Struga. Ważnym jest on z dwu powodów. Po pierwsze, jako objaw żywotności ducha rewolucyjnego, którego Strug jest wyrazicielem. Po drugie, jako sprawdzian stanu akcyi wartości rewolucyjnych na rynku krajowym. Nie jest bowiem Strug w swej wierze fantastą, kabotynem rewolucyjnym, podpierającym szczątkami tradycyi gmach zmurszały, lecz człowiekiem żywym i jego postacie też są ludźmi życia. Słowa gorącej wiary w ustach sympatyka, to nie frazes, lecz fakt życiowy, dowód, pieczęć położona na wierność sprawie. Dowód na to, że nie wyczerpał się prąd żywy, że ofiarność drzemie ukryta, jak zawsze, przed okiem profanów, gdzieś w mrokach, aż wynijdzie na świat w postaci nowych kadrów bojowych. Ropszyn w „Bladym koniu“ kreśli postać rewolucyonisty, przepojonego goryczą do siebie samego, nie mającego sił do oparcia się rozgoryczeniu i wskutek tego wkraczającego w progi beznadziejności i nihilizmu i to może być wyrazem tragedyi duszy rosyjskiej, wiecznie szukającej sposobów wyjścia z matni swej wybujałości i krańcowej natury. Inaczej u nas. Po okresie rewolucyi wielu wprawdzie zawiedzionych, czy to odstąpiło zupełnie od sprawy i oddało się filisterskiemu życiu, czy to targnęło się nawet na życie swe, lecz bardzo mała liczba była takich, jakich w Rosyi były tysiące, tracących wiarę desperatów i samozatraceńców. W Polsce zachował się typ żelazny, typ stalowej duszy upartego kresowca, co nie ustąpi, aż zginie, typ rycerza wiary. Nie darmo powiadają o Polakach, jako narodzie wierzącym zawsze i wszędzie.

Socyalista polski, bojowiec, mimo, że odrzucił wiarę w tradycyjną religię, skoro zdobył świat ideału, uwierzył weń silniej jeszcze, bo ten stał w związku z bytem jego bezpośrednim i szedł na ofiarny bój nakształt krzyżowca z czerwonym sztandarem w jednej, a bronią w drugiej ręce i zmierzał ku zamkom kapitału, by na nich zatknąć znamię swej krwawej męki.

Życie w norach podziemnych, w ciągłej konspiracyi i obawie prześladowań nie zabija w nim mocy nieugiętej, nie złamie i nie wytrąci mu miecza z ręki. (Dok. nast.).

Z TEATRU.

PEER GYNT — INNE NOWOŚCI.

(m) Z dużym niepokojem i niemniejszą ciekawością czekaliśmy wystawienia Peer Gynta. W czas tak niedługi po „Nocy listopadowej“ jedna z najtrudniejszych rzeczy scenicznych — czy rozmach nie za raptowny, czy pokarm nie za obfity po dwuletnim głodzie. Niepokój był usprawiedliwiony. Dlatego z uznaniem trzeba podnieść, że całość wypadła lepiej, niż można się było spodziewać. Jak w „Nocy listopadowej“, tak i w „Peer Gyncie“ wielka poezja, ilustrowana szlachetną muzyką Griega, nie dała się przytłumić niedokładnościami gry i reżyserji, dusze ludzkie wzięła za głowy i kazała im patrzeć w najskrytsze tajniki, wodziła je po rozstajach najzawilszych pytań i zagadek bytu, niosła dobroczynne oczyszczenie i podniesienie.

Kto jest Peer Gynt? Człowiek kultury zachodniej, wychowany w atmosferze poetycznych przeżytków, walczący równocześnie z romantyzmem i realizmem, grzeszny nieraz i zabłąkany, materyał do przetopienia w nowym tyglu życia, ale idący ciągle naprzód, z okiem utkwionem w przyszłość. „Peer Gynt“ trudny jest jednak do nazwania, gdy chodzi o dokładne określenie charakteru. Ciągle wymyka sie z pod analizy, ciągle jest inny. Wielki poeta chciał rozwiązać naraz cały szereg zagadnień, stąd niesłychane bogactwo myślowe, ale nieunikniony zarazem brak rozwiązania. Sławne Ibsenowskie „bądź sobą“, rozpatrzone pro i contra, niemal wszechstronnie, jednak bez wyraźnej odpowiedzi. Dzieło mimo to niezmiernego uroku poetyckiego, fascynujące, jak Faust, Don Quichote, Król-Duch, pozwalające na nieskończone snucie odpowiedzi w sobie samym, w swojem „bądź sobą“, pod tym kątem widzenia wiekuiste, jak wiekuistą jest zagadka człowieka. Nie odpowiada definitywnie na nic, jednak pełne najciekawszych odpowiedzi na mnóstwo pytań. Chcesz poznać ogół współbliźnich, — idź do jaskini Podjadków, — oni cię nauczą, że dość „wystarczyć sobie“, dość, gdy jest koryto... Chcesz wiedzieć, czem jest miłość rodzicielska, popatrz na Azę. Chcesz wiedzieć, jaki twój stosunek do pieśni o szczęściu, do tradycji domowej i ojczystej, — posłuchaj pieśni Solwejgi. Miraże upojeń zmysłowych, blaski powodzenia, obłąkańcze samodumy, — wszystko znajdziesz w wielkim poemacie Ibsena, a ponad wszystkiem nakaz „bądź sobą“ i przykład Peer Gynta, jak trudno jest „być sobą“. Olbrzymie tworzywo myślowe, na którego tle Ibsen snuł w dalszym ciągu najdoskonalsze w naszej epoce kreacye dramatyczne. Program poetycki całego życia.

Pod względem dekoracyjnym zrobiono wiele, jednak wyobraźnia szukała jeszcze więcej: bardziej ogromnych pustyń, bardziej niebotycznych gór i rozleglejszych oceanów. Szukała jakichś potęg niesamowitych, godnych nieskończoności życia. Bardzo trudna rola p. Adwentowicza miała znakomite momenty i stała na ogół na wysokości zadania. W początkowych scenach zawodziła dykcya, co przykrem jest podwójnie w ustach tak pracowitego i utalentowanego artysty. Panie Gostyńska i Zielińska nie uroniły nic prawie z wielkiej poezyi. Dobrze akompaniowali panowie Feldman i Dobrzański, panie Dobrzańska, Ogińska i Czaplińska. Zespół był dość poprawny. Mimo wszystkie braki coraz lepszy skutek dobrego w ostatnim sezonie repertoaru. I trzeba to zapisać jako objaw dodatni.

Dany w zeszłych tygodniach *Złoty wiek rycerstwa K. Marlowa* (w dobrym przekładzie Boya) posiada wszystkie zalety żartu scenicznego, które muszą się podobać. Niezawiła fabuła opowiada o udręczeniach potomka wielkiego rodu, który żyje i myśli nowocześnie, i ani rusz nie chce dogodzić pretensyom otoczenia, pragnącego, ażeby szczęśliwy dziedzic rycerskiego imienia umiał się zastosować do roli wspomnień złotego wieku rycerstwa. Co najprzykrzejsze, dziwacznej manji ulega także ukochana — i to wyprowadza udręczonego z równowagi. Zapada w sen, w którym widzi się w siedemset lat przed własnem urodzeniem. Osoby sztuki pozostają te same, ale w odmiennych rolach, przystosowanych do czasu. Inwencya autora gromadzi na tem tle wyborne niespodzianki, nie bez znacznej dozy niewybrednej, ale zarazem ciętej i trafnej satyry. Przebudzony bohater udanem obłąkaniem, w którem występuje jako rycerz wieków minionych, leczy radykalnie otoczenie, a przedewszystkiem kochankę, z niedorzecznego przywidzenia. Rzecz cała, pomyślana grubolinijnie, wywołuje salwy śmiechu w audytoryum i spełnia doskonale rolę żartu scenicznego. Artyści grali dobrze, jak to bywa przeważnie w tego rodzaju sztukach w naszym teatrze, czego niestety powiedzieć nie można w innych wypadkach, w repertoarze dramatycznym. Zwłaszcza p. Nowacki przesadzał, co się wlazło i bawił widzów do rozpuku.

Zapowiedziany cykl Fredrowski nieźle się zaczął *Panem Jowialskim*. Fredro ma humor, który się nie starzeje. Unosił on może za daleko największego komedyopisarza naszej literatury i naruszał wyższy poziom komedyi, degradując najlepsze pomysły do znaczenia farsy, ale natomiast zachował utworom jego wieczną młodość. Słuchając Fredry, zapominamy, że to świat typowo polski z czasów wygasającej szlachetczyzny, a poddajemy się całkowicie niewymuszonemu humorowi ludzkiemu, który nigdy nie zawodzi i sprowadza szeroki śmiech, tak zdrowy dla każdego człowieka, nie tylko w chwilach wypoczynku, ale podobno na każdem miejscu i o każdej porze. To też Pan Jowialski, bogato w humor uposażony, zrobił swoje i cykl zapowiedziany doskonale zainaugurował. Można mieć większe pretensye do niektórych artystów, ale rzecz na ogół wypadła prawie dobrze we wszystkich rolach, a bardzo dobrze w grze p. Gostyńskiej i p. Feldmana. Oczekujemy z upragnieniem dalszego ciągu i cieszymy się, że dyrekcya teatru przekonała się, iż i polskie sztuki robią kasę, a teatr miejski, uwzględniając w nowym sezonie sztukę narodową w wyższym stopniu, niż to dawniej bywało, spełnia w równie w wyższym stopniu swoje powołanie.

Szkoda, że dyrekcya dopiero teraz doszła do tego przekonania, ale lepiej późno, niż nigdy. Oby także artyści dramatyczni przyłożyli się do pracy i nie zapominali o wdzięcznem zadaniu, gdy otworzyło się im nareszcie pole do popisu.

Z TYGODNIA.

ZJAZD FILARECKI. W chwili, gdy zeszyt niniejszy oddajemy do druku, w republikańskim Paryżu, starej metropolis polskiego tułactwa i polskiej rzeczypospolitej tułaczej, rozpoczyna swe obrady zjazd polskiej młodzieży postępowej niepodległościowej, zrzeszonej w organizacyach filareckich pod hasłem: wolny Polak w wolnej ojczyźnie. Wskrzesicielom tradycyi Wielkiej Emigracyi, młodym zwiastunom odrodzenia się polskiej młodzieży i inteligencyi polskiej, ślemy na obczyznę słowa nadziei, że wysiłki ich nie pójdą na marne; że powstanie wśród młodej dyaspory naszej nowy typ Polaka, który wchłonie w siebie wszystkie zdobycze cywilizacyi nowożytnej i nowożytnego ducha, aby tem goręcej umiłować ujarzmioną i znieważoną Polskę i służyć jej tem dzielniej, który pióro pisarza, czy ołówek inżyniera w każdej chwili gotów będzie zamienić na inne, dalej niosące narzędzie, wolność indywidualną na żelazną dyscyplinę żołnierza, kulturę życiową na głodne i chłodne leża biwaków. Niech pracuje pomyślnie ich zjazd, niech ruch ich młody mężnieje i rośnie. Orla niech będzie ich lotów potęga i oby piorunem stało się ich ramię!

O PORTFELE MINISTERYALNE wre walka wśród stronnictw i grup, wchodzących w skład Koła Polskiego. Rezultaty niespodziewane: ludowcy zerwali porozumienie z „wielkimi rolnikami"; stanęło porozumienie między nimi a demokracyą narodową; w ręku tych dwóch grup znalazła się decyzya o polskiej reprezentacyi w reorganizowanym gabinecie. Wśród kandydatów do teki, obok prezesa Głąbińskiego wymieniany bywa Włodzimierz Kozłowski, człowiek poglądów zachowawczych, ale dużej kultury politycznej, odwagi cywilnej i sumienności obywatelskiej; dotychczasowy minister Dulęba, człowiek poczciwy, ale zły muzykant ministeryalny; wreszcie rozeszła się wieść o zamiarze ludowców przeparcia do teki dra Stefczyka, znakomitego znawcy ekonomicznych stosunków na wsi, lub Andrzeja Kędziorą, naczelnika biura melioracyjnego w Wydziale krajowym, posła na sejm, niestrudzonego, wytrwałego i dzielnego obrońcy sprawy kanałowej. Poseł Kędzior objąłby prawdopodobnie tekę robót publicznych.

Byłby na tem stanowisku pełnomocnikiem i wykonawcą woli społeczeństwa polskiego, które z taką jednomyślnością i stanowczością obstaje przy budowie dróg wodnych. Byłby żywą gwarancyą, że zreorganizowany gabinet zerwie z matactwami Bilińskich, że ustawa doczeka się wykonania. Gorący demokrata, człowiek wielkiej prawości i głębokiej politycznej wiary, wszedłby on do gabinetu jako pierwszy przedstawiciel odradzającej się, młodej, ludowej Polski. Wszyscy ci, którym postęp gospodarczy i społeczny Galicyi jest drogi, powitaliby z uniesieniem radości posła Kędziora jako ministra. Wówczas i my z lewicy radykalnej i socyalistycznej przyznalibyśmy Kołu Polskiemu, że wyszło z przesilenia zwycięskie.

Zdumiewające natomiast są pogłoski o możliwości przejścia prezesury Koła w ręce p. Stapińskiego. Człowiek bez politycznej czci i wiary, wróg przemysłowego odrodzenia kraju, aliant Bilińskiego, stał się p. Stapiński niemożliwym nietylko jako aspirant do teki, ale także, jako aspirant do laski „regimentarskiej". Wierzymy, że Koło Polskie uniknie tego poniżenia, które pozbawiłoby nas lwiej części owoców walki, w oczach zaś parlamentu odarłoby naszą reprezentacyę z wszelkiej powagi politycznej i mocy moralnej. Jeśli ludowiec stanąć ma u steru, niech nim będzie Bojko, czy ktokolwiek inny, byle nie „chłopski polityk", staczający się drogą, przez ks. Stojałowskiego odbytą. Gotów jeszcze czas nadejść, że o prezesurę Koła pretendować będzie ów mąż stanu od „Warszawskago Dniewnika" i lampy jerozolimskiej, skoro raz już ster polskiego przedstawicielstwa z rąk działaczy politycznych przejdzie w ręce ptaków niebieskich demagogii.

KULTURA KIJA I BATA. Z prasy codziennej znany jest potworny proces pastora Breithaupta i jego pomocników o straszliwe katusze, zadawane wychowańcom „humanitarnego" zakładu w Mielżynie. Zakład ten był piekłem tortur, rownem najgorszym katorgom carskim; setkami plag zabijano tam dzieci, przyprawiano o konwulsye, ataki sercowe, fizyczne charłactwo, obłęd wreszcie. A chociaż każde społeczeństwo wydaje jednostki zezwierzęcone i zwyrodniałe, i chociaż skłonność do okrucieństwa częsta jest wśród wychowawców tam, gdzie dozwolona jest lub tolerowana kara cielesna (srogiemi bywały podobno kary w Żulinie!), to rzeczą pozostaje niepojętą, plamą, ciążącą na państwie i społeczeńswie pruskiem, że oprawcy pokroju Breithaupta mógł być powierzony kierunek dużego zakładu, że zbrodniarz długo działał bezkarnie... Ale cięższem brzemieniem spada na Prusy wyrok, zasądzający tego mordercę dzieci, tego zbydlęconego okrutnika, na 8 (dosłownie o s i e m) miesięcy więzienia! Jakże łagodne i ludzkie są pruskie sądy! Jak wielka ich tolerancya dla kija i bata! Jakże uległą, wierną i nędzną moralnie będzie ta młodzież pruska, chowana pod kijem, kije znosząca w pokorze...

Mielżyn leży w Poznańskiem. Choć katowani wychowankowie zakładu przeważnie byli Niemcami, to jednak obyczaje szkolne poznańskie, system wychowawczy, stosowany do opornych dzieci polskich, musiał wywrzeć wpływ na Breihaupta. Niewola zmienia typ ludzi; działa na niewolników i na tych, którzy są narzędziami niewoli. Tych ostatnich nurza w topiel barbarzyństwa i upodlenia.

SOCYALBATALIŚCI. Jest we Lwowie od tygodnia „Gazeta wieczorna". Organ umiarkowanych demokratów. Imci pan Roger Battaglia na czele. Ponad łamami unosi się niby duch opiekuńczy dr. Michał Bobrzyński.

Wszystko to pięknie. Ktoby jednak spodział się, iż najbardziej wyraziście zaznaczoną tendencyą ideową tego pisma, skądinąd dyskretnie tającego swe poglądy, będzie czuwanie nad czystością programu socyalistycznego i ideologii marksowskiej.

Otóż jedną z najpilniejszych rzeczy, jakie załatwić uznali za stosowne redaktorzy „Gazety wieczornej", było wystąpienie przeciw ruchowi, zmierzającemu do stworzenia gotowości zbrojnej w społeczeństwie polskiem. Ruch ten i jego organy (wymieniono „Przedświt", „Promień" i „Życie"), nazwano „socyalmilitaryzmem" i potępiono, jako rzecz niegodną — dobrych socyalistów.

(NB. Słowo „socyalmilitaryzm", podobnie jak dawny „socyalpatryotyzm" i nowszy „socyalnacyonalizm", z brzmienia i z ducha należy do słownika pani Róży Luksemburg i spółki. *Les beaux esprits se... touchent...*).

Rzecz oczywista, niezmiernie jest organowi pana adwokata przemysłu krajowego do twarzy z tą obroną zagrożonego w czystości swojej socyalizmu.

Cieszy nas humanitaryzm i postępowość „Gazety Wieczornej", idące aż tak daleko, że przy ich blasku nasi demokraci emigracyjni, chcący szkołą podchorążych uczynić cały naród, byli reakcyonistami, wstecznikami, zasłuchanymi w echa ze złotego wieku rycerstwa.

Jedną tylko mamy prośbę:

Od wyrokowania o wartości moralnej t. zw. socyalmilitaryzmu i prawości przekonań jego przedstawicieli, wara wam — socyalbataliści!

SPRAWOZDANIA.

D l a m ł o d z i e ż y n a k o l e n d ę: W a c ł a w a S i e r o s z e w s k i e g o: B a j k i i i n n e. Do niedawna jeszcze książki dla młodzieży pisane były u nas przeważnie przez ludzi bez talentu i szerszych na życie poglądów. Zawierały one treść banalną i nudną, naszpikowaną grubem moralizatorstwem, mącącem pojęcia cudownościami katechizmowo-opatrznościowemi, jakie w życiu nie zdarzają się nigdy — a działają rozkładowo na rozwój woli i samodzielności przyszłego człowieka.

Potem nastała epoka pozytywno-racyonalistycznego przyrodo-materyalizmu. Książki pisali profesorowie i przyrodniczki, popularyzując wiedzę bardzo umiejętnie i rozwijając umysły w kierunku ścisłej uczoności. Dzieci poznawały mnóstwo szczegółów z życia zwierząt i roślin

oraz rozumiały wszystkie najdziwniejsze zjawiska wszechświata. Dochodziły przy tej sposobności do zarozumiałej pewności, że wszystko wiedzą i wszystko rozumieją i traciły ciekawość, nietylko do dalszych badań ale nawet do życia samego.

Brakowało tym książkom elementu dla młodocianych umysłów niezbędnego: pobudzenia wyobraźni, porywającej dusze w światy niezbadane i nierozpoznane dziedziny życia. Po te wrażenia dla dzieci naszych trzeba było sięgać do literatur obcych, bo najtrzeźwiejsi Anglicy i najpraktyczniejsi Niemcy, nie obawiali się pisać i kupować d'a swoich dzieci, najfantastyczniejszych historyi, wbrew naszym trzeźwym i praktycznym bakałarzom.

I nie mieliśmy dla młodzieży książek, które byłyby dziełami sztuki. Treść banalną lub ciężko uczoną, uzupełniały obrazki bez żadnej artystycznej wartości — i mimo najgorętszej chęci kupowania książek oryginalnych polskich — dla więcej rozwiniętych dzieci znaleść takowe było bardzo trudno.

W ostatnich czasach pojawiło się kilka książek pisanych przez autorów zajmujących wybitne stanowisko w naszej literaturze, które jakkolwiek nie były specyalnie dla młodzieży pisane, wzbogaciły ten dział literatury naszej i śmiało mogą zastąpić mądre i zajmujące książki tłumaczone, tak chętnie przez dzieci nasze czytane, choć obce.

W pierwszym rzędzie wymienić należy „Bajki" Wacława Sieroszewskiego, cudownie obrazkowane przez Rembowskiego, które będąc w całem znaczeniu tego słowa dziełem sztuki, z niezmiernem zajęciem mogą być czytane zarówno przez dorosłych, jak przez dzieci.

Na tle wspaniałej przyrody, którą Sieroszewski rozumie i maluje jak tylko niewielu z naszych największych, rozwija się życie zwierząt i ludzi, w zdarzeniach fantastycznych i nadzwyczajnych — opowiedzianych z werwą i humorem zupełnie władnącym nastrojem czytelnika — jak owe opowiadanie myśliwskie, w które nikt nie wierzy a wszyscy z ogromnem zaciekawieniem słuchają.

Na okładce, spinająca się na palcach do wysoko zawieszonej kraty, poza którą jest uwięziona, patrzy tęsknie w rozległą dal córa „Wichru północnego". Powinna się nazywać Swobodą — bo uciekła od okrutnego ojca, który wszystko niszczył i gnębił, co tylko znalazło się w promieniu jego okrutnej władzy. Byłaby może stała się błogosławieństwem dla ludu ciemiężonego przez jej ojca, pod opieką którego schronić się chciała, gdyby zbóje nie byli jej schwycili i uwięzili w grocie skalnej, poza tą właśnie twardą i niezmożoną żelazną kratą. I zginęłaby może całkiem ta Królewna-Swoboda wśród tych zbójników zdradzieckich, gdyby nie porwał się na Północnego wiatru poszukiwanie dla dochodzenia swojej i matczynej krzywdy góralczyk zuchwalstwem mocny a zawziętością niezmożony.

Chciałci go przekupić Północny wiatr darami — ale od takiego dawcy i dary były zdradliwe a omylne.

Ale przezwyciężyła wszystko zacięta wytrwałość chłopczyny i nie tylko ratuje matkę z cieżkiej niedoli a królewnę Swobodę z ciężkiej wyzwala niewoli, ubiwszy nędznych zbójników, ale i cały lud dokoła darzy szczęściem i błogosławieństwem.

To jest bajka najpiękniejsza. Oprócz niej są przedziwne przygody głupiego tygrysa, który dał się nabierać ludziom w sposób więcej zabawny niż prawdopodobny.

I bardzo piękna historya o rodzinie myszek zamieszkującej ruiny zamku i przechowującej z dziada pradziada tradycye objawienia człowieka. Kiedy prawdziwi ludzie zjawiają się w ruinach, myszki uwielbiają w nich bogów i idą za nimi, w pogoni za ideałem.

Zatem dzieje „Inwalidów" znajdujących po ciężkich przejściach łaskawy chleb na starość u poczciwych ludzi, zawiązują nici sympatyi między człowiekiem a służącemi mu zwierzętami domowemi

Drugą książką bardzo zajmującą i będącą dziełem prawdziwego talentu są Janusza Korczaka: Józki, Jaśki i Franki. Autor „Dziecka Salonu" daje tu obrazy życia kolonii ubogich chłopców na wsi tak plastyczne, że dorośli przeglądają je jakby malarską, genialnym pędzlem naszkicowaną galeryę. Młodzi przeżywają te wszystkie wrażenia, czytając, jakby rzeczywistość.

Podobne co do treści są dwie książki skandynawskie wydane przez J. Mortkowicza po raz drugi „Moi chłopcy" Gustaf'a of Geierstama i „Nad dalekim cichym fiordem" Ayot'y Gjems Semler. Książki to zajmujące i bardzo ładnie spolszczone, ale nie mają tego charakteru swojskości, co oryginalne — szczerze polskie dzieło Korczaka.

Szkice historyczne: H. Orszy. Na ziemi polskiej przed wielu laty bardzo pięknie zdobione ilustracyami p. Ostrowskiego, przynoszą kilka opowieści o nie znanych powszechnie zdarzeniech historycznych, opisanych barwnym i poprawnym językiem.

Prześlicznie zdobione obrazkami przelotnych ptaków są dwie książki Selmy Lagerlöf: Cudowna podróż druga i trzecia część. Mimo bardzo pięknego języka wkraczają onę w dziedzinę tych książek „uczonych", które przy powszechnem przepracowaniu naszej młodzieży, daje się z pewnem wahaniem w jej ręce podczas spoczynku i rekreacyi, o ile nie chce się przeciążać jej umysłu i wtedy, kiedy należy jej się rozrywka. Fabuła jej fantastyczna, podróż powietrzna nad Norwegią, chłopczyka porwana porwanego przez dzikie gęsi, jest wprawdzie bardzo zajmująca — ale obcość terenu sprawia, że dla naszych dzieci pożądańsze byłyby takie wykwitłe z bujnej wyobraźni wędrówki nad Polską i... do Polski!

Marya Turzyma.

(R) Adam Szymański: Aksinja Kraków 1911. Aksinja, biedna dziewczyna moskiewskiej Lechii, niezdatną była do wszelkiej roboty. Chodziła senna, bezmyślna, budząc się tylko na widok zwierciadła. Przed niem pozowała w dziwacznych, niezrozumiałych postawach, gestykulując i zmieniając wyraz twarzy. Na żadnej służbie nie trzymała się dłużej Aksinia. Podczas żniw okazała się dopiero w swej właściwej postaci. Wśród śpiewu poprowadziła żniwiarzy w spiekocie strasznej. Przodowniczką się stała niepokonaną, z pośrodka najgłębszych instynktów moskiewskiej Lechii wyrosłą.

Szymański ma w sobie wiele z szczególnej prymitywności, ktora daje szerokie pole do różnorodnych domysłów i odczuć co do tematu i akcyi.

Rozlewną a prostą wizyę w ramie zdobyczy etnograficznych wyczytaliśmy w opowieści Szymańskiego. Aksinja była ostatnią z moskiewskich Laszek, która lekarką umiała byc dla siebie. Uczyła się pożytku dla drugich w specyalnym zabiegu aktorskim: wpijania się w zwierciadło

Aksinja nie mogła, choćby chciała, zrozumieć bezwzględnej wartości swego wysiłku, którą tajony, a podpatrywany odsłania się w momencie najjaskrawszym, lecz i jedynym, jako wzór i przykład. Niezmiernie ujmującem jest skreślenie pojmowania roli grającej jednostki przez tłum, skupiony w podziwie. Ludzie wpatrzeni w Aksinję uczą się na pamięć, by kiedyś wyciągnąć z jej roli otuchę. Wtedy wchłonęła masa jednostkę w siebie, a jednostka przeżywała marę w jej najwyższym porywie. Aksinja prowadziła tłum żniwiarzy i „grała" boginię śpiewu, jako najszczerszą duszę moskiewskiej Lechii. Niemy gest instynktowej ekstazy — jest i pozostanie nieporównanie wymownym.

(m) Minkiewicz Romuald: Lucyan. Dramat współczesny i przyszłych pokoleń. Pięć aktów z prologiem. (Warszawa 1911),

Rzecz z rodzaju, który Niemcy nazywają „Lesedrama" Lucyan, jeden z „duchów-światłonośców", górująca wśród wyzwalających się osobistość, traci tę, którą ukochał, i wpada w rozpacz beznadziejną. Nad brzegiem morza zdaje się uzyskiwać uspokojenie. Wskazywałyby na t końcowe jego słowa: „Dziwna, jak piękne jest morze... To dziwna, to dziwna"... A może to nie uspokojenie dla życia, lecz chęć nicości. Smutna opowieść, smutny bohater, co tyle ma czasu na skargi i boleść, gdy życie wre i woła do pracy. Odgłos romantyki z czasów „Weltschmerzu", tak dziwny i niezrozumiały w naszej epoce, w epoce wzrastającego czynu. Zwycięstwo „siły ciążenia" nad „siłą woli". Całość godna przeczytania i nie bez znacznego nieraz talentu pisarskiego.

W ciągu trzech pierwszych miesięcy swego istnienia pismo nasze rozwinęło się, wypracowało sobie własne ideowe oblicze, stanęło odważnie na zdawna opuszczonej pozycyi i pod gradem pocisków wytrwać tam zamierza do ostatka. Zdobyło sobie wrogów możnych i zaciętych; ale skupiło również dokoła siebie zastęp liczny ludzi duchem żywych, walczyć chcących za sprawę wolności i postępu.

Od nich domaga się „Życie" stałego współdziałania, pomocy czynnej.

„Życie" poświęca w każdym zeszycie artykuł naczelny podstawowym zagadnieniom polityki narodowej. Szereg artykułów zagadnieniom bieżącym życia społecznego i narodowego w trzech zaborach i na obczyźnie. W każdym zeszycie poświęca kart kilka literaturze, sztuce i wiedzy. Zamieszcza utwory literackie wybitnych pisarzy, zestrojone z duchem pisma. Piórem fachowców porusza przysypane od półwieku u nas pyłem niepamięci, a zajmujące dziś tak żywo całą Europę, zagadnienia wojskowości i wojny. Uderzeniami mizerykordyi rozprawia się z wstecznictwem, przewrotnością i obłudą.

Do grona współpracowników „Życia" należą:

Dr. Tobiasz Aschkenase, Stanisław Baczyński, Witołd Bunikiewicz, Maryan Dąbrowski, Gustaw Daniłowski, Marya Dulębianka, Włodzimierz Dzwonkowski, Wilhelm Feldmann, Kazimierz Frech, Tadeusz Grużewski, Dr. Władysław Gumplowicz, Feliks Gwiżdż, Dr. Michał Janik, Dr. Witold Jodko, Juliusz Kaden, Dr. Stanisław Kot, Dr. Maryan Kukiel, Ludwik Kulczycki, Bronisław Laskownicki, Jan Lemański, Dr. Edward Lewiński, Dr. Bolesław Limanowski, Dr. Aleksander Lisiewicz, Marya Markowska, Ignacy Matuszewski, dr. Henryk Mester, Romuald Minkiewicz, Władysław Milko, Iza Moszczeńska, Andrzej Niemojewski, Władysław Orkan, Władysław Orwid, Stanisław Pytliński, Mieczysław Rettinger, Jadwiga Sarnecka, Savitri, Wacław Sieroszewski, Eugienjusz Skierski, Adam Skwarczyński, Artur Śliwiński, Hipolit Śliwiński, Edward Słoński, Dr. Michał Sokolnicki, Konstanty Srokowski, A. Strug, Leon Wasilewski, Stefan Żeromski i bardzo wielu innych.

Każdy zeszyt bogato zdobiony. Winiety tytułowe Wyspiańskiego, Rembowskiego, Barwińskiego Ozdoby Bojomira, Jaworskiego, Minkiewicza, Ostena, Ulanowskiego i wielu innych.

Każdy prenumerator, przybywający z nowym rokiem, może otrzymać tytułem premii pierwszy komplet kwartalny tygodnika za zwrotem kosztów przesyłki.

„Życie" wychodzi w każdą sobotę po południu.

Prenumerata wynosi:

	rocznie	półr.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier	20 kor.	10 kor.	5 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego nru 40 hal.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy lub jego miejsce **na 2 i 3 str. okładki 30 hal., na 4 zewnętrznej 40 hal.** Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Dwernickiego l. 11 A.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9 do 1 przed południem. Redaktor przyjmuje codziennie między g. 12—1.

Wydawcy: Dr. Aleksander Lisiewicz i inż. Hipolit Śliwiński.
Redaktor naczelny Gustaw Daniłowski.
Redaktor odpowiedzialny dr. Maryan Kukiel.